



Fragment Cmentarza Poległych (Bratnich Mogil) w stolicy.
Postać Matki — Lotwy.

O tym jak Azor pomagał Maciejowi

Koguty darły się tak, że bębunki w uszach popekać chciały, a nadomiar złego Azor, pies podwórzowy, swym wyciem i skowitem spać nie dawał. Wstał więc stary Maciej Błaszczak i odziewszy się pośpiesznie przed dom wyszedł. Azor, jak to każdy pies, pana zoczywszy wnet mu do nóg przypadł i łasić się począł.

Co ci to piesku, co?

— A nic, wszystko w porządku zdawały się mówić ślepia wiernego psa i Azor na potwierdzenie tego zaczął wymachiwać ogonem.

Maciej Błaszczak popatrzył na świat mgłą przysłonięty i zawyrokował:

— Pogoda szykuje się niezgorsza, czas już ruszyć w pole...

Zajrzał do wozowni, obejrzał wóz dokładnie, osie zasmarował, wypchnął na podwórze i ku stajni podążył.

A w stajni stała para gniadoszów i źrebak Kasztanek. Na widok Macieja radośnie parsknęły konie a Kasztanek wnet znalazł się przy swym panu i dogmacać się począł codziennej swej porcji cukru, obwąchując kieszenie. Oczyszczył Błaszczak konie, i na śniadanie się udał.

W godzinę potem jechał stary Maciej na pole, a Azor, poszczekując biegiem w podskokach przed końmi, a biegiem czasem tak blisko, że zdawało się iż go konie stratuja, lecz Azor w porę odbiegał i pędził jak strzała przed siebie, by znów, nagle zawrócić i koniom pod łby podchodzić. A konie grzywami trzęsły, głośno parskały, pociągały wóz w szalonym tempie i zdawały się gonić Azora, by znów po chwili zwolnić biegu. Wtedy chód ich był ciężki, powolny... Tak zajechali na pole. Maciej przelożył konie do pługą, znak krzyża świętego nad polem i na sobie uczyniwszy, orać zaczął.

Skiby czarne, śniące kładły się równo jedna obok drugiej, a Azor, za panem swym drepcąc, ogląda każdą skibę i poszczekując z uznaniem, macha poważnie ogonem — niby to — że dobrze przez Macieja pole zorane. I kawki, te dziady kościelne gromadą się zleciały i jęły się tak głośno kłócić, a bić się między sobą o tłuste pędraki, że Azor zmuszony

był je godzić, ale kawki zbyt mało czuły respektu dla Azora, bo pod sam nos mu podchodziły i skrzydłami tak wymachiwały, iż Azor zmuszony był czasem cofać się przed nimi. — Wtedy Maciej Błaszczak biczem śmigał i gromadę całą rozganiał a Azora wstydził:

— A wstyd, Azor! domu pilnuje, zło dzieja się nie boi, a przed kawkami ucieka.

A Azor szczyrzył zęby, zapierał się mocno łapami i szczyrzył tak na kawki zawzięcie i głośno, jakby nie on sam, a pięć takich jak on psów ujadło. A ślepia Azora to już tak wtedy świeciły, jako te latarnie samochodowe. Wtedy kawki widząc, iż źle się to może skończyć ulatywały w górę i cudaczne czyniąc kółka, krążyły nad Azorem, to nad końmi i starym Maciejem.

Byłby może Azor dłużej tak wojował z Kawkami, ale uwagę jego zwróciło coś podobne było do Azora.

— A tu coś wysunęło łeb z nory i rozglądało się podejrzliwie dookoła.

Lis to był.

Więc Azor jak nie skoczy, a lis w nogi. Azor za nim — jakby chciał pokazać Maciejowi, iż tchórzem nie jest — pędził jak wicher i o dziwo! w milczeniu, lekko sprężysto, aż Maciej Błaszczak lejce upuścił z podziwu, a konie powyciągały szyje i rżeniem zachęcały Azora do większego jeszcze wysiłku. Azor jakby rozumiał końską mowę... rwał już teraz tak, iż kurz tylko za nim widać było. Nagle powietrze przeszły skowyt dzięki i przez dłuższą chwilę widać tylko było jeden jakiś duży kłab skaczący i tumany kurzu. A może lis górą będzie? odpiął więc Maciej orczyk i już ma biec na pomoc Azorowi, a tu Azor już taszczy większego niż on sam, lisa.

Kawki z respektem usiadły z dala i z pochylonymi łebkami przypatrują się Azorowi, który pogardliwie macha ogonem i ani spojrzy na czeradę kawek. Otulił Błaszczak zziąjanego psa swą własną kapotą, dał mu chleba kawał, a lisa na wóz wrzuciwszy do dalszej orki się zabrał.

Dzwony na Anioł Pański przerwały dopiero pracę Maciejową i drzemkę spracowanego Azora.

„Rys“



Za kurtyną

— Ojej! zaczyna się! — westchnęła mamusia, kiedy Jagódka wręczyła jej uroczyście różowy kawałek papieru, elegancko złożony.

Nie potrzebowała oglądać, żeby wiedzieć, czym to grozi. Było to po prostu zaproszenie „do teatru” i takie same otrzymał tatuś i Antosia w kuchni i państwo doktorostwo z na przeciwka i pan Jerzy z góry. Starannie napisane było na owych kartkach: „Zapraszamy na przedstawienie, które odbędzie się dziś o godzinie 7-ej wieczorem. W programie: monolog lalki, taniec pajaca i komedyjka pt. „Skarbonka”. Przedstawienie odbędzie się w sali brązowej (pokój jadalny). Bilety wstępu: tabliczka czekolady. Dyrektor teatru: Ania, Reżyser: Ada. Sekretarz: Jagódka”.

Zaproszeni goście wiedzieli, że ciężką obrazą byłaby dla „dyrekcji teatru” odmowa. Przygotowali więc swe bilety wstępu i punktualnie przybyli do „sali brązowej” (tapety były brązowe!) Przywiązany do antaby okna i górnych zawieszów drzwi przedzierał ową salę sznur na którym zawieszono przy pomocy kleszczy od wieszania bielizny makatę z leżanki. Goście zajęli miejsce w dwóch rzędach krzeseł i cierpliwie czekali.

A za kurtyną odbywały się tajemnicze szmery, szelesty, przyciszone klótnie i przesuwanie czegoś. Wreszcie rozległ się przeraźliwy dzwon, jak na pożar i kurtynę ściągnięto. Na środku „sceny” stała „lalka” — Jagódka, w białej sztywnej sukience, ze wstążką we włosach i straszliwie umalowaną twarzą. Mama przypomniała sobie w tej chwili, że zapomniała zamknąć swej toaletki z pudrem i kremami. Lalka wodziła swój wierszyk, dygnęła i wyszła sztywno „za kulisy” (do drugiego pokoju). Punktem drugim był taniec pajaca, taniec własnego układu, jak głosiły „artystki” w co zresztą nikt nie wątpił, bo te dziwaczne skoki i harce mogła tylko Ada wymyśleć.

Potem długo, długo było nic: aktorki przebiebrały się. Zza kulis dobiegał straszliwy rwetes i mama znowu przypomniała sobie z niepokojem czego jeszcze zapomniała zamknąć. Ale rzeczywistość przeszła granice jej oczekiwania.

Póki jeszcze na scenie ukazał się chłopczyk w przerobionych ze sukienki spodniach i podejrzanym bujną czupryną i zaczął biedzić się nad zadaniem, póki jeszcze przybył drugi jego towarzysz, syn stróża i powód historii ze skarbonką — też było pół biedy, ale kiedy na scenę wkroczyła mama w powłóczyściej sukni, z szalem na ramionach, z ukreconymi rurkami włosami, postępująca chwiejnie na wysokich obcasach balowych pantofelków i pobrzękująca tuzinem bransoletek, naszyjników i pierścionków — mamusia jęknęła i już nawet nie chciała patrzeć na scenę ze zgrozy.

Na scenie było lekkie zamieszanie, bo synek zapomniał roli i wszyscy mu gorączkowo podpowiadali, a kiedy matka rozgniewała się na niego i krzyknęła mu tuż nad uchem: „Ostatni raz pytam, gdzie masz skarbonkę!” tak się pzeraził, że spadł z krzesła. No ale i tak się wszystkim podobało mimo, że synowi stróża spodni zamieniły się w sukienkę (agrafki się odpięły!), a „mama” zgubiła przypięty kok. Po przedstawieniu wszyscy byli zadowoleni: aktorki z biletów wstępu, a goście — z tego że już się wszystko skończyło. *

Dzień zaduszny

Zaszumiął wiatr srogi,
Zniknął spokój błogi, —
Jesień już panuje,
Na ziemi króluje.
Na cmentarzach — krzyże
Niemi są owiane,
Cmentarne zaś groby
Wieńcami przybrane.
„Wieczny odpoczynek”
szepcą usta ludzi,
z oczu łzy padają,
w sercach żal się budzi.
Cmentarz jest spokojny,
Tylko powiew duszny
Budzi, w nas wspomnienie,
że to „Dzień Zaduszny”

Mieczysław Banaszyński



Jak Pyza



Ogląda się Pyza: Tak mi się wydawało, że cosik za nami, jakby tupotało. Nie bój, nie bój się Pyszulo! Wicher gra! Nikt nie jedzie, nikt nie pędzi, nikt nie gna!



Bili zbója — cyganiucha, a Pyzę tymczasem chwycił niedźwiedź za fartuszek i poniósł do lasu. Mrucał niedźwiedź: — nic się nie bój — do niedźwiedzi blisko. przypatrzysz się zamiast ludziom leśnym niedźwiedziskom.



Aż tu nagle ryknął niedźwiedź i z krzaków wyskoczył, aż pojazddek w bok się schylił i z drogi potoczył! — Zbóje! Zbóje! Hej do broni! Dajcie kije! Patrzaj Pyzo, jak to Polak zbója bije!



Oj, było to zamieszanie na leśnej drodze, aż świat kołem chodził w oczach Pyzie — niebodze, aż się pod nią z przerażenia zgięły kolana, a Domejko i Dowejko bili cygana.

Szczęśliwy Dz

— Mamó, popatrz, to ten sam! — zawołał Zygmun.

— Rzeczywiście! — przytaknęła pani Molska.

Zosia i Kryśka spojrzęły w kierunku, w którym pokazywał Zygmun. Tak. To ten sam chłopiec, którego widzieli kłęczącego koło grobu rano, kiedy szli ustrajać mogiłę ojca. Ale niedosyć na tym. Zygmun poznał w nim chłopca, który tydzień temu szedł sam za trumną, ze spuszczoną głową. Uszli jeszcze kawalek i przystanąłi. Marmurowa tabliczka głosiła, że tu spoczywają zwłoki pułkownika Andrzeja Molskiego. Zapalili lampki. Chwiejne płomyki poczęły migotać na wietrze. A Zygmunta ogarnął wielki żal za ojcem.

— Dzieci, już późno. Idziemy!

Szli znowu ludną aleją. Zeschłe liście szeleściły im pod nogami.

— Mamusi! On jeszcze tam kłęczy — szepnęła Zosia.

Pomimo późnej pory chłopiec ów kłęczał jeszcze, ukrywszy twarz w dłoniach. Pani Molska zbliżyła się i położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu.

— Chłopcze, idź już do domu!

wędrowała



Zaniósł Pyzę do szerokiej nory
niedźwiedziowej
i powiada burczącymi niedźwiedzimi
słowy:
-- Co tam ludzie! Lepszy, bliższy wielki
bór nad nami —
zostań miła Ilusta Pyzo między
niedźwiedziami!

zien Zaduszny

— Nie, proszę pani! Ja tu jeszcze zo-
stanę! Po co mam iść do domu? Na mnie
nikt nie czeka. Ja jestem sierotą.

— To chodź z nami. Napijesz się her-
baty i opowiesz o sobie...

W pokoju było przytulnie i ciepło. Her-
bata wydawała miły aromat, a bułki chru-
pały w zębach wygłodzonych dzieci.

— Więc jak się nazywasz? — spytała
gospodyni gościa.

— Stefan Ruberski, proszę pani.

— Co? Ruberski? Kazimierz Ruberski
był serdecznym przyjacielem mego męża.

— To był mój ojciec. Umarł trzy lata
temu, a matka — tu oczy chłopca zas-
szkliły się łzami — tydzień minął. Obec-
nie mieszkam u znajomych.

— Tak być nie może. Biorę cię w
swoją opiekę i już stale będziesz z nami.
Jutro zaraz załatwię tę sprawę. Będzie ci
z nami dobrze — dodała pani Molska, skła-
dając serdeczny pocałunek na czole chłop-
ca.

Stefan uśmiechnął się przez łzy. Już
było mu tak dobrze.

Mary Piżmowska



Będziem jedli słodkie miody dzikich leśnych
pszczoł,
pili z źródeł chłodne wody, czuli zapach ziół.
A gdy spadną z złotym szumem zwiedle liście w
borze —
uśniesz sobie wśród niedźwiedzi w ciepłej
wielkiej norze. —



— Mój niedźwiedziu, pojmij że to swoim łbem
kudłatym:
chcę iść jeszcze między ludzi od chaty do chaty,
Chcę wędrować ścieżkami, drogami lasami,
z pastuszkami przy ognisku gadać wieczorami.



Mruknie niedźwiedź: — Chcesz? — Ha, trudno,
lecz odpocznij nieco.
Noc nad borem jeszcze stoi. Ostro gwiazdy
świecą.

Lecz gdy się na jasnym niebie piękny świt zapali,
pójdziesz sobie miła Pyzo dalej... dalej... dalej...

Dar świętego Huberta

Zaafelowany wielce biegł imé pan Franciszek Domieradzki przez leśne drogi i dróżki. Aż mu nieodłączna dubeltówka na plecach podskakiwała, a torba myśliwska u pasa się trzęsła. Wpadł za drewnianą bramkę z hałasem, skaczące na niego na powitanie psy niecierpliwie odpedził i mało klamki nie urwał tak za zamknięte drzwi szarpnął.

— Ojej, a tam co? pali się czy co?
— zrzędziła jejmość pani Franciszkowa, z ławy się niechętnie dźwigając.

— Otwieraj — żesz, Kundziu, a żywo! to ja!

— No przecie leceć! leceć! — mruzczała pani Kunegunda, noga za nogą posuwając się do sieni, bo to i kota musiała po drodze pogłaskać i do garnków zajrzeć i na kołyskę z malutką Basinką spojrzeć.

Dotarła jednak w końcu do drzwi a gdy je otworzyła pan Franciszek wpadł jak bomba i usiadł ciężko za stołem.

— A tom się zmachał!... No, poczekaj. że moja Kundziu, już ty się zaraz szybciej ruszysz! Książę jegomość do nas jutro zjedźża!

— Książę!?! Na polowanie?

— No ta jużci, że nie z wizytą do leśniczówki, jeno na polowanie. Operządź mi tu wszystko z Jurkiem, bo ja do lasu muszę, obejść i przepatrzeć.

— O rany! tyle też roboty na ostatni dzień!...

— A boś to zapomniała, że jutro święty Hubert? Hubertowiny to przecież, nie byle jakie polowanie!

— Zapomnieć, tom to i nie zapomniała, boć przecież żona leśnika jestem, alem nie myślała, że właśnie do naszej leśniczówki zjadą panowie.

— U mnie zwierzyny jest w tym roku najwięcej! — pochwalił się imé pan Domieradzki i zaraz o obiad wolać zaczął, bo mu było do roboty pilno.

— Jedrek! — krzyknął na syna.

Jedrek, czarny, opalony, zgrabny, jak fania, a bystry, jak jeleń prawdziwy leśny chłopak wracał właśnie z lasu z powiazaną sznurkami, starą strzelbiną na ramieniu. Aż mu oczy zabłystry, gdy mu ojciec o polowaniu powiedział. — A mogę ja z wami iść, ojczel! — dopraszał się, ale imé pan Franciszek ofuknął go tylko:

— Widzicie go! czego to się smykowi zachciewał! Jeśli pójdzie nagonka, to z nagonką iść możesz, ale strzelać mi się ani waź! Panowie jutro polują!

— Jakże to? Świętego Huberta jutro, a ja żadnych Hubertowin mieć nie będę? ani jednego strzaliku?

— Ani jednego! zwierzynę mi wypłoszysz! Książę poluje! Rozumiesz?...

Polował książę Radziwiłł w swych lasach, Hubertowiny hucznie wyprawiał dla swych gości i dworzan, choć sam nie w humorze był wcale. Żeby księcia pana rwały i aż oczy czasem zamykał z bólu. Stał jednak wytrwale na stanowisku bo myśliwym był zawołanym, a Hubertowin za nic by nie opuścił. Z dala słychać było hałas nagonki i strzały myśliwych. Nagle — zatrzeszczały krzaki i wielki pływ kształt mignął wśród jesiennych liści. Strzelił książę, ale chybił, bo znów go te przeklęte zęby zarwały. Wtem, tuż obok niego huknął znów strzał i niknący już zwierz z traskiem padł na ziemię. Obejrzał się książę. Stał za nim młody chłopak, i ze strachem spoglądał to na niego, to na dymiącą jeszcze strzelbę.

A nadbiegali już ludzie.

— Rogacz wyszedł! Na księcia — pana szedł prosto! — wolali — O leży, leży! piękny strzał!

— Piękny, ale nie mój! — odczwał się książę. — Ten smyk go położył! — Jednym strzałem i to wtedy, gdy już uchodził po moim pudle.

— Ty! — jęknął pan Franciszek Domieradzki. — To mój syn! Przebaczenia się dla niego dopraszam...

— Ja tylko tak nie chący! I to dziś Huberta... Tak bez strzału... — jękał chłopiec.

— To waści syn, mości Domieradzki? I taka strzelbina go ustrzeliła! Widzicie, aspanowie?... No masz tu moją na pamiątkę, a przyjdź jutro na dwór! Zajmiemy się tobą!... Co za strzał! Aż mnie zęby rwać przestały!... Idziemy waćpanowie!...

A Janek Domieradzki stał wciąż na jednym miejscu, piękny dar księcia do piersi przycisnął i dziękował w duchu świętemu Hubertowi.

Listy od Redakcji

PUSZA

Pukitówna Wańdzia. Serdecznie dziękujemy Ci za miły i długo oczekiwany, liścik. Mamy nadzieję, że obecnie, kiedy wieczory są długie, będziesz pisać do nas częściej. Czy zawsze czytujesz „Krasnoludki”? Jeśli Ci podobało się przedstawienie „O Kasi, co nie chciała kaszy”, to poproś swą siostrzyczkę, Hele, by zaprosiła Ciebie też na sztukę: „O Kasi, co pogubiła gąski” lub też jakąś inną, które tak często grają w Domu Polskim. Ponadto co tam słyszały Krasnale, że kukielki wybierają się także i do Puszy, z pewnością wtedy się także wybierzesz.

DAUGAWPILS

Cześ Szklennik. Dopiero teraz odpowiadamy Ci na Twój pierwszy list, pisany na jesieni. Cieszymy się, że bierzesz udział w konkursie oraz że wykazujesz postępy w szkole. Czekamy na następny list i dalsze rozwiązania.

BIRŻE

Andzia Rabkiewiczówna. Dziękujemy Ci za bardzo miły list, na który obecnie odpisujemy. Na ten drugi, który przysłałaś z Marysią Zaperecką, znajdziesz dla siebie odpowiedź w liście do niej. W Rydze teatrzyk kukielkowy także istnieje i to prowadzony jest przez Krasnali. Bardzo się cieszymy, że będziecie mieli możliwość oglądania tak ciekawej sztuki, jaką jest przedstawienie „O Kasi, co gąski pogubiła”. Pytasz nas, kiedy należy zaprzestać korespondowania z Krasnalami. Trudno na to odpowiedzieć. Może wtedy, gdy nasze pisemko „Krasnoludki” przestanie Ciebie interesować, natomiast zacząć Cię interesować wiadomości z „Naszego Życia”. Postaramy się, by książeczki, przeznaczone na nagrody za dobre rozwiązania, były ciekawe, a bądź pewna, że podobnej, jaką masz, ponownie Ci nie przysłemy. Oprawiony rocznik Krasnoludków jest w Redakcji do nabycia za Ls 1.50 bez kosztów przesyłki.

Marysia Rabkiewiczówna. Nie martw

się Marysiu, że nie możesz czasem pójść tam dokąd pójść masz chętkę. Gdy wyrośniesz, będziesz rozporządzała dowolnie własną osobą. Oczywiście, szkoła ma prawo zawsze decydować o postępowaniu uczniów, bo za to odpowiada: więc i kierownik szkoły interesuje się, jak uczniowie spędzają czas poza szkołą. Mają w tym jednak bardzo poważny głos rodzice i od nich też właściwie zależy co i jak dziecko ma robić poza szkołą. Co się tyczy wierszyka M. Konopnickiej, to nie wiemy, jak napisała autorka: czy tak jak Ty podajesz, czy też w naszej wersji. Spotykaliśmy to rozmaicie. Przedrukowaliśmy ostatecznie tekst tego wierszyka z „Czytanek polskich”. W każdym bądź razie dobrze jest pomodlić się i za Ojczyznę i za matek.

Nie tylko nie gniewamy się, ale cieszy nas to, że tak interesujesz się materiałem, jaki drukujemy w „Krasnoludkach”. Słusznie piszesz, że literatura polska jest b. bogata. Nie chcielibyśmy jednak drukować utworów klasycznych, ponieważ można je przeczytać z książki, a po drugie rzeczy te są b. długie. Oczywiście, książek jest mało, ale są i jeśli nie ma w Birżach, to są w Rydze, więc naszym przyjaciołom ryskim nie ciekawie będzie czytać po raz drugi te utwory. Poza tym, rzeczy poważniejsze, może bardziej wartościowe, są długie. Więc moglibyśmy na przykład drukować śliczny utwór M. Konopnickiej o sierotce Marysi i Krasnoludkach, ale poza tym, że jest wielu dzieciom znany, jest tak długi, iż drukowalibyśmy chyba więcej niż rok. A tak mamy obecnie dwie powiastki, jedną rymowaną o Pyzie, drugą o Skrzaciku. Wesoło to jest i lekkie. Bo poważnie rzeczy poważniejszych nie drukuje się w gazetach. Natomiast zadaniem innych i naszym jest, aby książki trafiały jak najdalej, a między innymi i do Birż. Przypominamy, że masz nam napisać coś do umieszczenia w „Krasnoludkach”.

Krasnal Włóczęga

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga – Dzirnavu 57, „Krasnoludki”